

PROLOG

Wyobraź sobie, że jesteś na pokładzie samolotu, wysoko w powietrzu. Jeden z silników staje w płomieniach, drugi też ledwo zipie, pilot będzie awaryjnie lądował. Znalezienie się w takich okolicznościach to doświadczenie druzgocące, ale również pouczające. Na początku – pośród okrzyków rozpacz i zgrzytania zębów – nie potrafisz myśleć w opanowany, racjonalny sposób. Musisz to przyznać: ogarnęło cię śmiertelne przerażenie, sparaliżował cię strach, jak wszystkich dookoła. Ostatecznie samolot ląduje bezpiecznie i wszyscy wychodzą z tego przeżycia bez szwanku. Uspokoiwszy się, zaczynasz bardziej świadomie spoglądać na to, co się wydarzyło. I wtedy właśnie wyciągasz lekcję z tego wydarzenia.

Uświadamiasz sobie, że ludzka egzystencja jest czymś, co trwa tylko przez krótką chwilę, którą poprzedza i po której następuje nicość. Na początku nie ma niczego – głęboka, nieprzenikniona pustka. Wtem – migotanie wątłego światła. I znów nicość, wieczna pustka. Jak ujął to Nabokov: „Nasze istnienie jest tylko wąską szczeliną światła między dwiema wiecznościami ciemności”¹. Oto brutalna prawda na temat ludzkiego życia – wszystko inne to ozdoby. Jakkolwiek nie próbowalibyśmy oddać tej prawdy, to tak czy owak – biorąc pod uwagę to, co było przed nami i to, co nastąpi po nas

¹ V. Nabokov, *Pamięci, przemów: autobiografia raz jeszcze*, tłum. A. Kołyszko, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa 2018, s. 19.

– w sumie nie ma o czym mówić. Jesteśmy niemal niczym. Wiele rzeczy, które robimy w życiu – świadomie czy też nie – robimy po to, aby jakoś poradzić sobie z chorobą, która nas ogarnia, gdy zdamy sobie sprawę z naszej niemal-nicości. Mitologia, religia, duchowość, filozofia, nauka, literatura i sztuka – to wszystko wysiłki, by ten nieznośny fakt naszej egzystencji uczynić choć odrobinę znośniejszym.

Jednym ze sposobów, aby obejść tę sytuację, jest całkowicie jej zaprzeczyć. To podejście optymistyczne, w którym zamykamy oczy na prawdę. Wtedy przyjmujemy, że nasza sytuacja wcale nie jest taka tragiczna. W wielu mitologicznych opowieściach ludzkie życie zaczyna się na długo przed naszymi narodzinami na tym świecie, a po śmierci czeka nas reinkarnacja. Niektóre religie idą o krok dalej i obiecują życie wieczne. To dobry interes, bowiem klienteli łąsą na taką obietnicę nigdy nie brakowało. Ostatnimi czasy coś nowego pojawiło się na tym rynku – transhumanizm. Kapłani nowego kultu twierdzą, że dzięki odpowiednim gadżetom i udoskonaleniom technicznym (i właściwym kontom bankowym) ludzkie życie można przedłużać w nieskończoność. Te i inne obietnice nieśmiertelności czeka ten sam los, bowiem nie zapowiada się, abyśmy umieli rozwiązać problem naszej śmiertelności.

Choć wielu ludzi przyjmuje religijną obietnicę życia wiecznego, to zawsze znajdują się sceptycy. Co do transhumanistów – choć twierdzą, że potrafią zajrzeć w przyszłość, to najwyraźniej nie najlepiej sobie radzą ze spojrzeniem w przeszłość: produkty „udoskonalenia człowieka”, choć pod innymi nazwami, funkcjonują na rynku już od wieków, od czasów legendarnego Enkidu z *Eposu o Gilgameszu*. Towary transhumanistów wypadają blado w porównaniu z tym, co oferowali średniowieczni alchemicy. Jednak tysiące lat starań, by przedłużyć ludzkie życie, wciąż nie pozbawiły śmierci pracy. Owszem, w dzisiejszych czasach żyjemy dłużej, lecz ostatecznie i tak umieramy.

Innym sposobem radzenia sobie z naszą niemal-nicością jest stawienie jej czoła, zmierzenie się z nią jak z bykiem na korridzie:

żadnej ucieczki, żadnych zabezpieczeń, bez owijania w bawełnę. Po prostu idź przed siebie, patrząc prawdzie w oczy, w świadomości tego, co cię czeka: nic. Pamiętaj o suchych faktach naszego istnienia: o pustce za tobą i przed tobą. Jeśli wciąż rozmyślasz o swojej niemal-nicości i nie potrafisz przekonać się do obietnicy życia wiecznego oferowanego przez religię czy pozwolić sobie na biotechnologiczne wydłużanie życia, to sposób dla ciebie. Sposób inspirowany korridą nie jest ani łatwy, ani przyjemny – zwłaszcza dla byka. Tym właśnie bowiem jesteśmy: bykiem w udręce, a nie toreadorem, który go miażdży i idzie dalej.

„Istotą ludzkiej natury”, jak pisze Simone Weil, jest to, że „ci, którzy miażdżą innych nie czują niczego; tylko ofiary prawdziwie doświadczają tego, co się dzieje”². Choć brzmi to skrajnie pesymistycznie, to trudno o wyższą formę ludzkiej wiedzy niż ta, która pozwala nam prawdziwie zrozumieć, co się dzieje – postrzegać rzeczy takimi, jakie są, w przeciwieństwie do tego, jakimi chcielibyśmy, aby były. Poza tym bezkompromisowy pesymizm jest bardzo praktyczny. Jeśli żyjemy w zgodzie z pierwszym przykazaniem pesymisty („W razie wątpliwości zakładaj najgorsze!”), nic nas nie zaskoczy. Żadne wydarzenie, jakkolwiek tragiczne, jakie by się nie wydarzyło, nie wytrąci nas z równowagi. Dlatego też ci, którzy spoglądają swej niemal-nicości prosto w oczy, żyją w spokoju, równowadze i rzadko narzekają. Najgorsze, co może ich spotkać, to dokładnie to, czego się spodziewali.

Co najważniejsze, spoglądanie prawdzie w oczy pozwala nam wypłatać się z jakąkolwiek godnością z tegoż uwikłania, jakim jest ludzka egzystencja. Życie to uzależniająca choroba przewlekła i naprawdę trzeba nam lekarstwa.

Terapia oparta na porażce, którą przedstawiam w tej książce, może wydawać się zaskakująca. Wskutek naszego nieustannego uwielbienia sukcesu porażka ma zszarganą reputację. Wydaje się,

² Cytat za: D. McLellan, *Utopian Pessimist: The Life and Thought of Simone Weil*, Poseidon Press, New York 1990, s. 93.

że w naszym świecie nie ma niczego gorszego niż porażka – choroba, nieszczęście czy nawet wrodzona głupota to wszystko nic w porównaniu z porażką. Ta jednak zasługuje na więcej. Wiele aspektów porażki zasługuje na pochwałę.

Ponoszenie klęski jest zasadniczym elementem tego, kim jesteśmy jako ludzie. To, jak zachowujemy się w obliczu fiaska, definiuje nas samych, podczas gdy sukces jest jedynie przemijającym dodatkiem, który niewiele mówi o człowieku. Możemy żyć bez sukcesu, jednak nasze życie nie miałoby sensu, gdybyśmy nie zdołali pogodzić się z naszymi niedoskonałościami, kruchością naszej egzystencji i śmiertelnością – a to wszystko istne epifanie porażki.

Kiedy doświadczamy niepowodzeń, separują nas one od świata oraz innych ludzi. To odsunięcie, oderwanie, sprawia, że czujemy, że nie pasujemy do świata, że straciliśmy pewną harmonię pomiędzy nami a innymi ludźmi, że czegoś nam brakuje. Przez to wszystko zaczynamy poważnie kwestionować nasze miejsce na ziemi. I być może jest to najlepsze, co może nas spotkać: owo egzystencjalne przebudzenie jest dokładnie tym, czego nam trzeba, jeśli chcemy prawdziwie zrozumieć, kim jesteśmy. Nie ma mowy o żadnym uzdrowieniu bez tegoż zrozumienia.

Gdy poniesiesz porażkę i nawiedzą cię takie odczucia – jakiegoś braku, zagubienia – to nie opieraj się im, tylko podążaj za nimi i wsłuchaj się w nie. Powiedzą ci, że jesteś na właściwej drodze. Żyjemy w tym świecie, ale nie jesteśmy z tego świata. Zrozumienie tego jest początkiem drogi do przebudzenia. Sama porażka, pomimo swej pokory, znajduje się w samym sercu tej ważnej podróży duchowej.

Można zatem zadać sobie pytanie: czy porażka może ocalić mi życie? Owszem, może. Pod warunkiem, że dobrze ją wykorzystasz. To, jak przekuć porażkę w coś dobrego, stanowi opowieść, którą postaram się przekazać w tej książce. Jak sami zobaczycie, porażka nie jest totalną katastrofą, jak ją malują jej przeciwnicy – ona może czynić cuda, jeśli chodzi o samospełnienie, uzdrowienie i oświecenie. Nie będzie to jednak łatwe, ponieważ ponoszenie porażki to skomplikowana rzecz.

Porażka jest niczym grzech pierworodny w Biblii: dotyka nas wszystkich. Bez względu na klasę czy kastę społeczną, rasę czy płeć wszyscy zrodziliśmy się, by ponosić porażkę. Uprawiamy ją tak długo, jak żyjemy, i przekazujemy ją kolejnym pokoleniom. Podobnie jak grzech, porażka może być haniebna i wstydliva. Niemal bym zapomniał – i brzydka. Porażka jest brzydka – niczym grzech, jak twierdzą niektórzy. Porażka potrafi być tak brutalna, paskudna i druzgocąca jak samo życie.

Jednak bez względu na jej uniwersalność porażka jest tematem, o którym niewiele się mówi czy pisze. Jest ona zaniedbywana i pomijana. Albo gorzej: jest przekuwana w coś modnego przez guru samopomocy, czarodziejów marketingu i emerytowanych prezesów wielkich firm, którzy mają za dużo wolnego czasu. Wszyscy oni robią z porażki farsę, gdy próbują – i to bez krzty ironii – dokonać jej „rebrandingu” i sprzedać ją jako krok na drodze do sukcesu.

Sprzedawcom porażko-sukcesu udało się między innymi zrujnować głębokie i adekwatnie ponure powiedzenie autorstwa Samuela Becketta: „Spróbuj znów. Przegraj znów. Przegraj lepiej”. Wszyscy co do jednego zapominają, że w kolejnym zdaniu, zaraz po powyższej frazie, którą cytują do znudzenia, Beckett proponuje coś jeszcze lepszego niż „przegrać lepiej” – „przegrać gorzej”: „Spróbuj znów. Przegraj znów. Znów lepiej. Albo i gorzej. Przegraj znów, gorzej. Wciąż gorzej. Aż będziesz miał dość. Aż do porzygu”³.

Beckett nie bez powodu był przyjacielem rumuńskiego filozofa pesymizmu, Emila Ciorana. Napisał kiedyś do niego: *Dans vos ruines je me sens à l'aise* („W Pańskich ruinach czuję się bezpieczny”)⁴. „Mieć dość” i to „aż do porzygu” – trudno o lepszy opis naszego trudnego położenia egzystencjalnego. Dla Becketta przegrana prowadzi do samospełnienia oraz uzdrowienia owej fundamentalnej

³ S. Beckett, *Nohow On: Company, Ill Seen Ill Said, Worstward Ho. Three Novels*, Grove Press, New York 1980, s. 102.

⁴ E. Cioran, *Zeszyty 1957–1972*, tłum. I. Kania, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2016, s. 683.

choroby, która towarzyszy naszej niemal-nicości – można zatem rzec, że *Pochwała porażki* to książka beckettowska.

Pojawia się zatem pytanie, jak rozróżnić prawdziwą porażkę od tej fałszywej, sprzedawanej przez guru samopomocy? To proste: prawdziwa porażka zawsze prowadzi do pokory. Jeśli tego nie robi, to nie jest to prawdziwa porażka, tylko „krok na drodze do sukcesu” – innymi słowy: oszukiwanie samego siebie. A to nie prowadzi do uzdrowienia, tylko wręcz przeciwnie – do pogłębienia choroby.

Książka ta nie jest o porażce jako sztuce dla sztuki, lecz o pokorze, którą zdradza w człowieku, i o procesie uzdrowienia, któremu daje początek. Jedynie pokora, czyli „bezinteresowny szacunek dla rzeczywistości”, jak to ujęła Iris Murdoch, pozwala nam pojąć, co się dzieje. Kiedy osiągniemy pokorę, wtedy pocujemy, że jesteśmy na drodze do uzdrowienia, bowiem będzie to oznaczało, że zaczęliśmy wyplątywać się z uwikłania egzystencji.

Jeśli zatem twoim celem jest sukces i nie interesuje cię pokora, to możesz spokojnie odłożyć tę książkę z powrotem na półkę. Nie pomoże ci ona, a jedynie zwiedzie z drogi.

Z reguły traktujemy porażkę poważnie. Sama idea przyjrzenia się jej bliżej sprawia, że czujemy się nieswojo – nie chcemy jej dotykać, żeby się nie zarazić. Jest to, nomen omen, dotkliwa ironia, bo przecież przychodzimy na świat w całości spowity porażką.

Wszystko to sprawia, że badanie porażki to wyczyn niemal akrobatyczny: obserwujemy ją w świecie zewnętrznym, ale musimy również dostrzec ją w nas samych, w najciemniejszych zakątkach naszych umysłów i serc. Znajdujemy ją w konkretnych osobach, ale również w ogóle społeczeństwa, zarówno w naturze, jak i w kulturze. Możemy prześledzić jej obecność w religii, polityce, biznesie i w sumie w każdym obszarze ludzkiej działalności. Nie zapominajmy również, że naszego wglądu w porażkę dokonujemy my sami, wadliwi obserwatorzy: przyglądamy się jej zmęczonymi oczyma, rozmyślamy nad nią za pomocą naszych skłonnych do błędów umysłów i przekazujemy to, co odkryliśmy, za pomocą języka, któremu daleko do perfekcji. Każde badanie porażki jest samo w sobie jej przykładem.